



BARBARA ZEIZINGER

PODRÓŻ

[„Die Reise”]

Odstawiono mi środki nasenne, żebym mogła przyzwyczaić się do normalnego rytmu dnia. Na początku obmacywałam w myślach moje ciało, wędrowałam za bólem, jakbym mogła tym sposobem narzucić mu swoją wolę, ale od kiedy zaczął zanikać i wiem, że chłopcu nie stało się nic złego, nie przeszkadza mi, że nie mogę spać.

Zawsze proszę siostry, by zostawiały otwarte okno, a że już wiedzą, że nie lubię w nocy zupełnej ciemności, dokładnie podciągają żaluzje, które za dnia są spuszczone i chronią mnie przed rażącym słońcem. Leżąc w łóżku mogę więc widzieć niebo.

Noc zapada już wcześniej, a że moje okno wychodzi na zachód, mogę śledzić dzień do ostatniej chwili, ale zanim już zupełnie zniknie, często pojawia się księżyc na niebie. Do pokoju wpada więc prawie zawsze trochę światła, które przeciska się między meblami i rzuca cienie na ścianę, a te zmieniają się, w zależności od kąta padania światła i jego jasności. Są, w pewien sposób, ciągle takie same, stając się nieodłączną częścią moich nocy, bo stają się jakby bezpieczną siatką, która rozpina się nie tylko dla mnie, ale i dla tych, którzy przyjdą po mnie.

Trudniejsze są noce, kiedy gęste chmury zanurzają pokój w ciemności, albo podczas deszczowych dni, które przypominają plusk wody nad jeziorem.

W taką noc zaczęłam znowu moją starą grę.

Kiedy na ciebie czekałam, próbowałam przechytrzyć czas. Wymyślałam słowa, które się rymują, banalne słowa, np. czerwony–uśpio-ny, błękitny–wybitny, a których jedynym sensem było to, że powstrzymywały mnie od liczenia minut.

Z biegiem czasu przyzwyczaiłam się do wymyślania rymów, zapisywania ich w odstępach piętnastominutowych. Sama sobie wyznaczałam czas tego zapisu i liczbę tych znalezionych, przez co umknął mi zupełnie właściwy cel tej zabawy.

Kiedy żadne rymy nie przychodziły mi do głowy, próbowałam układać wersy, potem całe zwrotki. Czasem ustalałam nawet temat, ale to było zbyt ryzykowne, bo często trafiałam na te same mielizny.

Te manewry odwracania mojej uwagi nie zawsze były pomyślne. Czasem syn mnie wołał i najpóźniej wtedy, kiedy – przeciw wszelkim radom mojej matki – zabierałam go do naszego łóżka, wybuchałam płaczem, który mnie usypiał, mimo że chciałam na ciebie czekać.

Przy śniadaniu nie wiedziałam, co mam mówić, pytałam tchórzliwie jak było na kolacji z towarzystwem z pracy, a podczas kiedy ty wyliczałeś wszystkie obecne osoby, miałam nadzieję, że przy każdym żeńskim imieniu uda mi się zauważyć jakiś jednoznaczny ognik w oczach, nie zastanawiając się, jak on ma wyglądać. Ty natomiast potraktowałeś moje zainteresowanie jak błahostkę.

„Czy mam zaprowadzić małego do żłobka?”

Codziennosc ściąga na ziemię, jak wyrzucona kotwica. Przystaję na to ochoczo. Może następna noc obejdzie się bez rymów...

Powstawały jednak następne wersy, aż opuściła mnie fantazja i nie miałam już siły na nic. To było wtedy, kiedy zaczęłam przeszukiwać twoje kieszenie w oczekiwaniu, że znajdę może jakiś list, może rachunek z hotelu. Moje początkowo nieczyste sumienie zamieniło się wkrótce niemalże w gorliwość detektywa. Chciałam dowodu twojej niewierności, czarno na białym, jak jakiegoś dokumentu.

Niczego nie znalazłam, dlatego zaczęłam wydzwaniać do biura. Wyczuwałam zakłopotanie twojej sekretarki, przed którą mniej mogłeś zataić, niż przede mną.

Któregoś razu zostawiłam na tylnym siedzeniu auta pluszowego misia, a w nocy, kiedy usłyszałam, że wracasz, wyrwałam małego ze snu, żebyś zastał mnie z płaczącym dzieckiem na rękach.

Musiałeś te wszystkie znaki zinterpretować po swojemu, bo przy śniadaniu wysunąłeś się na krótko z twojego domku ślimaka i spytałeś nagle: „Kiedy ty właściwie byłaś szczęśliwa?”

Patrzyłam na ciebie zdziwiona, bo myślałam, że cię źle zrozumia-

łam, ale ty stałeś ze spakowaną torbą i miałeś właśnie wyjść. Cze-kałam na twoje tradycyjne stwierdzenie: „dziś będę później”, ale ty zapytałeś: „Spotkamy się dziś wieczorem nad jeziorem?”

Byłam tam pierwsza. Lubię jezioro, jego ograniczoność. Morze prze-raża mnie, bo muszę koniecznie widzieć brzeg. Pamiętam, jak kiedyś pływaliśmy statkiem po jeziorze. Spytałam cię wtedy, czy z każdego miejsca można dopłynąć do brzegu...

Dawniej przyjeżdżaliśmy tu częściej. Zanurzaliśmy się w poświęcie nad wodą, kiedy horyzont stapiał się z jeziorem i czasem nawet ko-chaliśmy się pod tymi niebieskozielonymi drzewami.

Kiedy dojechałeś, leżałeś obok mnie dłuższą chwilę i milczałeś.

„Mam zamiar wyjechać“, powiedziałeś w końcu i wodziłeś wzro-kiem za światłami statku zawijającego do portu.

„Sam?”

„Beata jedzie ze mną.”

„I?”, spytałam.

Wstałeś, poszedłeś bez słowa w stronę jeziora i wypłynąłeś.

„A więc tak wygląda koniec”, pomyślałam i zobaczyłam nas, stu-dentów architektury, leżących w śpiworach, w namiocie nad Morzem Śródziemnym. Widziałam, jak czytaliśmy włoskie przepisy kulinar-ne, jak śmiałeś się, bo nie potrafiłam prawidłowo wymówić słowa „gnocchi”. W Galleria Nazionale w Urbino staliśmy dość długo przed obrazem Piero della Francesca „Idealne miasto”, a potem rysowa-liśmy nasze miasto marzeń na papierowym obrusie w austerii, gdzie jedliśmy spaghetti i piliśmy zbyt duże ilości wina.

Ponieważ chciałeś koniecznie zobaczyć kalabryjską Arenę, zatrzy-maliśmy się przed powrotem do domu w Weronie, a później opowia-dałeś wszystkim, że na balkonie Romea i Julii postanowiliśmy się pocałować i pocałowałeś mnie przy głośnych brawach turystycznej masy, co oczywiście nie było prawdą, ale ta historyjka wydawała mi się bardzo romantyczna, dlatego nie protestowałam i z czasem stała się częścią naszych wspólnych opowiadań.

Kiedy zamknęłam oczy, by przywołać uczucia, które wtedy musiały się pojawić, wspomnienia rozkładały się na pojedyncze warstwy cza-sowe, mieszały się z tym, co było między nami w ostatnim roku i przy-pomniałam sobie twoje pytanie, które postawiłeś mi przed połu-dniem.

A więc Beata, odpowiedzialna za public relations. Pamiętam ją tyl-

ko z kolacji jubileuszowej w twoim biurze, kiedy uparłeś się, żebym z tobą poszła.

„Wszyscy przyjdą z żonami. I załóż coś, w czym się można pokazać, proszę!”

To mimochodem rzucone zdanie rozdrażniło mnie, bo przypomniał mi się wieczór u nas w domu, kiedy ty zabawiałeś swoich kolegów, a mnie potem, przy sprzątaniu, zarzucałeś, że nie byłam zabawna.

Na kolacji jubileuszowej nic szczególnego nie zwróciło mojej uwagi, także wtedy, kiedy siedząca koło mnie Beata powiedziała, że wiele o mnie słyszała. Pamiętam, że byłam z ciebie bardzo dumna, bo wszyscy oklaskiwali cię po wzniesionym toaście, a ty, lekko zaczerwieniony, nie patrząc nikomu w twarz, poluźniłeś krawat i jednym haustem wypileś wino.

„Nie żałowała pani nigdy, że przerwała pani studia?”, to pytanie padło dość nagle.

„Nie“, powiedziałam po chwili wahania, „wie pani, pojawiło się dziecko“.

„Ale Feliks ma dopiero półtora roku...”

„Pani wybaczy...”, bąknęłam, wybiegłam i zamknęłam się w toalecie. Beata wołała coś za mną...

Kiedy w końcu wyszłam na korytarz, stałeś tam z bezradnym wyrazem twarzy, jak wtedy, kiedy nie zdałam kolejnego egzaminu i powiedziałam, że nie będę dalej studiować i, zupełnie jak nie ja, wykrzyczałam, że mam dosyć rysowania projektów, które są ciągle odrzucane, że nigdy nie byłam kreatywna, a architekturę zaczęłam tylko i wyłącznie ze względu na ciebie.

Przeraziłeś się, cofnąłeś się o krok, powiedziałeś, że moje zarzuty są niesprawiedliwe, wręcz śmieszne, że pomogłeś mi tylko podjąć decyzję i nikt mi nie zabraniał studiować czegoś zupełnie innego.

„Gdzie byłaś tak długo?”

„Chcę do domu...”

Czułam twoją złość, mimo że nic nie powiedziałeś. Zepsułam wieczór twojemu kierownikowi, któremu próbowałeś wyjaśnić historię żony.

W drodze powrotnej wydawało się, że miasto jest bezлюдne. Padał drobny deszcz i między nasze milczenie wkradał się tylko odgłos poruszającej się wycieraczki.

„To nie jej wina, ona nie boi się egzaminów”, myślałam.

Kiedy patrzyłam na zmoczoną deszczem ulicę, w której odbijały się światła wystaw sklepowych, czułam rozżalenie i rozczarowanie, które

od lat tkwiło między nami, bo obwinialiśmy się nawzajem, że nie udało nam się wspólnie wybudować idealnego miasta.



„Muszę zmienić te wycieraczki.”

Prawie zapomniałam o twojej obecności, bo myślałam o Beacie i wyobrażałam sobie, że jestem jednak architektem i idę z tobą do biura lub, z hełmem na głowie, wchodzę na budowę.



Tymczasem zrobiło się ciemno. Pobiegłam na brzeg i próbowałam cię wypatrzeć. Stojąc nad wodą przypominałam sobie co powiedziałeś do chłopca i pamiętałam mój protest, bo powinienś wyjaśniać mu coś, co jest w stanie zrozumieć. „Kiedy wrzucisz jednocześnie dwa kamienie do wody, powstające na niej kręgi znoszą się nawzajem.”



Widziałam jak podpływałeś do brzegu, ale nagle straciłam ochotę, by na ciebie czekać, miałam dosyć twojego milczenia.



„Zaczekaj!” usłyszałam twoje wołanie, „Nie wygłupiaj się!”

Silnik zawył. Widziałam cię we wstecznym lusterku, widziałam jak stawałeś się coraz mniejszy i mniejszy. Ostatnie, co sobie przypominam, to chusteczki do nosa, po które sięgałam do schowka.



Później powiedzieli mi, że próbowałam jeszcze hamować na czerwonym świetle, ale wpadłam w poślizg, rzuciło mnie na przeciwny pas, musnęłam chłopca na motorowerze i ostatecznie uderzyłam w mur, oddzielający jezdnię od brzegu jeziora.

„Skomplikowane złamanie, stłuczenie kości miednicowej, wstrząs mózgu. Organy wewnętrzne nie zostały uszkodzone, miała Pani szczęście.”



Młody chirurg uśmiechał się i opowiadał z

fantazją o implantatach, które mogą mnie postawić na nogi. Chciałam zapytać, jak długo byłam nieprzytomna, ale mówienie nie wychodziło mi jeszcze tak dobrze, a po wyczerpujących wyjaśnieniach lekarza sądziłam, że każde słowo może być uznane za niestosowny sprzeciw. Tak więc uśmiechałam się i w tym momencie, mimo że byłam unieruchomiona na wyciągu, życie wydało mi się lekkie i kuszące.



Podczas twoich codziennych odwiedzin opowiadasz mi przede wszystkim o Feliksie.

Najczęściej jednak milczysz i obserwujesz ptaki za oknem. Jak tamtego wieczoru nad jeziorem, kiedy śledziłeś światła statku.



Od kiedy mogę już wstawać z łóżka, siedzimy przeważnie na balkonie, wychodzącym na mały park przy szpitalu.



Ściskasz wtedy moją dłoń tak mocno, że aż boli. Teraz byłby ten właściwy moment, żeby cię spytać, czy wybrałaś się wtedy w podróż, o której wspomniałaś. Patrząc jednak tylko na czerwień jesiennych klonów, pod którymi pacjenci spacerują wąskimi ścieżkami i myślę o przyczynach, które ich tu sprowadziły. I wiem, że nie spytam cię o ten wyjazd, bo ta podróż, jeśli w ogóle miała miejsce, była tylko podróżą, jak wiele innych, przypadkiem, krótkim wycinkiem długiej linii, jak dzisiejsze popołudnie, podczas którego obserwuję przychodzących i odchodzących w późnym świetle słońca.



Próbuję ostrożnie uwolnić dłoń z twojego uścisku.

„Chciałabym wrócić do domu”, mówię, „chciałabym pojechać nad morze”.



© *Barbara Zeizinger*

© przekład: Małgorzata Płoszewska